Czubek periodyczny



Skład redakcji: **Nr 3/2016 (11) 12.10.2015**

Bartłomiej Figura, Michał Maciąg

„Czubek wieńczy dzieło."

M. Maciąg

Niech Czubki rządzą w Lublinie!

Razem z Czubkiem wspierajcie Biskupiak!
Stańcie do batalii o Stację Kultury dla naszej szkoły!

Szansę na uzyskanie tytułu Stacji Kultury możecie zwiększyć, logując się i głosując na stronie **http://fundacjateam.nazwa.pl/glosowanie**

Czubek w internecie

Od niedawna wszystkie numery „Czubka periodycznego" są dostępne na stronie:

czubekperiodyczny.blogspot.com

2 debiuty artystyczne

Z niniejszym numerem Czubka do grona naszych twórców dołączyli:

- **Justyna Nowaczek**
- **Paweł Bury**

Serdecznie gratulujemy!

W dzisiejszym numerze:

Justyna Nowaczek

Szczęście

Szczęście

Co to właściwie jest?

Będę szczęśliwa…
Gdy zdobędę sławę i uznanie!
Będę szczęśliwa…
Gdy dobiegnę pierwsza na metę!
Będę szczęśliwa…
Gdy wygram fortunę!

Właśnie, że nie…
Tam jest tylko ciemność.
Przytłaczająca pustka.
Nie idę w tą stronę.
Nie chcę.
Zawracam.

Teraz zrozumiałam…
Szczęście…
To śpiew ptaków o poranku.
Szczęście…
To dobry gest.
Szczęście…
To niewinny uśmiech.
Szczęście…
To dom, rodzina, przyjaciele.

Tak.
Zawracam.
Tylko…
Skąd ja przyszłam?
Gdzie mam teraz iść?
Halo!
Czy ktoś mnie słyszy?
A może…
A może już za późno?



Justyna Nowaczek

Bezsenność

Wieczorem…
Zamykam oczy,
A w głowie teatr.
Sceny z życia, które już przeminęły …
I scenariusze, których premiery nigdy nie będą miały miejsca.
Wprowadzam korekty,
Doszukuję się głębszego znaczenia.
Próbuję rozwiać myśli – zasłonić kurtynę.
Wszystko na nic – kolejne akty sztuki błagające o dopracowanie.
W końcu nie jestem dyrektorem – ale reżyserem, aktorem, krytykiem.
Nareszcie przybywa dyrektor – promień słońca,
Kurtyna zapada.
Myślisz, że to koniec teatru?
Nic bardziej mylnego.
To dopiero początek kolejnego aktu,
W którym jestem tylko marionetką.



Bartłomiej Figura

Królik czy marchewka? – cz. 8

Wszelkie podobieństwo do osób lub zdarzeń rzeczywistych jest przypadkowe.

Tom 2

Oczyszczenie

Księga 1 – Na ofiarę...

"Walka o wolność, gdy się raz zaczyna,
z ojca krwią spada dziedzictwem na syna."

George Gordon Byron, „Giaur”

„Wrzuć do ognia kamienie czerwone,
niech się w ogniu rozpalą na biel.
Niech powrócą znów lata minione
i położą się na nas jak cień…”

Andrzej Kołakowski, „Katharsis”
(inspirowane tekstem W. Wysockiego „Biała łaźnia”)

„Topij! Pozwól z własnym życiem się rozliczyć.
Topij! Pozwól pozbyć się minionych chwil.
I spraw – niech usłyszą krzyk, gdy zacznę krzyczeć
i szept modlitwy, gdy na krzyk nie starczy sił.

Ogień zgasł, czarnego dymu znikły chmury,
serce znowu odzyskuje dawny rytm.
I nadzieja się zbudziła po raz któryś,
że po nocy znów nastanie dla nas świt.”

Andrzej Kołakowski, „Katharsis II”
(inspirowane tekstem W. Wysockiego „Czarna łaźnia”)

Grodno, województwo białostockie, rok 1946

Ulice królewskiego miasta Wielkiego Księstwa Litewskiego z wolna się wyludniały. Zapadał ponury mrok kolejnej okupacyjnej nocy. Resztki pozostałej w mieście Semper Fidelis, wiecznie walczącej ludności, schowały się już w domach, a ulice obok ponurej sowieckiej mgły wypełniały ciężarówki, które mknęły w bliżej nieznanych kierunkach zmieniając z wolna skład etniczny miasta.* Nic już nie pozostało z tej nadziei, którą jeszcze mieć można i trzeba było przed dwunastoma czy dwudziestoma czterema miesiącami. Wszystkie petycje do władz polskich i radzieckich trafiały w próżnię. Miasto płaciło kolejną cenę za ponurą determinację sprzed siedmiu lat. Jednak miasto, przyzwyczajone jak i cała północno-wschodnia Polska do wiecznej konspiracji, nie poddawało się. Przeszło jedynie na pozycje wyczekujące w stosunku do czerwonego wroga. Wypełniało również zadania wspierania aktywnie działającej na tych ziemiach partyzantki poakowskiej oraz NSZ-owskiej. Obok tego silnie rozwinięte struktury wojskowe i cywilne działały również w mieście, przechodząc po roku 1944, wbrew rozkazom dowództwa, do jeszcze większej konspiracji. Teraz już nikt nie mógł wiedzieć, kto jest kim. Po zakończeniu Operacji Bagration żołnierze niepochodzący z terenów wschodnich zdecydowali się opuścić te ziemie, pozostali jedynie ci, którzy gotowi byli na tej ziemi zwyciężyć lub dokonać swojego żywota. Tak jak ich dziadkowie, pradziadkowie i tak jak wiele wcześniejszych pokoleń. Miasto powoli zasypiało. W mieszkaniach, podobnie jak i za Niemca czy pierwszego sowieta, nie paliły się już światła. W jednym z domków położonych na wyjeździe na Warszawę pochylony nad stołem siedział mężczyzna o wyraźnie zmęczonej twarzy. Miał góra trzydzieści lat, wyraźnie zgrubiałą skórę. Gdy wstawał i przechadzał się po pokoju widać było po nim lata wojskowej musztry. Teraz znajdował się w pokoju sam. Wielu z tych, z którymi szedł do boju w ową straszną jesień roku pamiętnego, już nie żyło. Wielu przeszło w nowe granice, wyznaczone nawet w sprzeczności z ustaleniami z Jałty czy Poczdamu. Teraz pozostawało tylko trwanie i organizacja. I ciągłe pytania z tamtej strony – wracać czy nie wracać? Walczyć czy złożyć broń? Nie dało się na te pytania udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Bo tak jak każdy miał różną sytuację życiową, tak każdemu Bóg przeznaczył inną ścieżkę życia i czego innego od niego oczekiwał. Edward Surkowski, bo tak nazywał się żołnierz polskiego podziemia, odszedł od okna i jeszcze raz pochylił się nad mapą. Przedstawiała ona ogólnie rzecz biorąc – naszkicowany niewprawną ręką plan brzeskiego więzienia, w którym przetrzymywano część chłopców z oddziału Edka. Młodzieniec, któremu zostało powierzone rozpoznania nie miał zbyt wiele czasu, a nadto w rysunkach zawsze był kiepski, co potwierdzał jeszcze jego przedwojenny nauczyciel. Wobec strat w ludziach jednak cóż można było począć? Trzeba było działać. A czas płynął. Kolejne spotkania musiały być przekładane, gdyż wróg nie tylko coraz lepiej rozpracowywał struktury, ale przede wszystkim wchodził już wszędzie i po prostu dekonspirował ich

poprzez likwidację ludności wiernej Rządowi RP w Londynie. A trzeba sobie zdać sprawę, że w tym jeszcze czasie nieposłuszeństwo wobec komunistów było na terytorium całego kraju powszechne i wystarczył jeden sygnał do zmasowanego ataku, żeby całe to państwo budowane od czekistowskiej wierchuszki rozsypało się w pył. Niestety, elity po raz kolejny zawiodły. Ciepłe posadki i politykierstwo okazały się ważniejsze od ludzi w Kraju. Przed oknem kolejny raz przejechał samochód. Zaniepokoiło go to. Ten sam. Który już raz? A może mu się zdawało. Tak, zmęczony już był. Ale lepiej trzeba się było ewakuować. Szybko zgarnął rzeczy do teczki i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Tam okno wychodziło na podwórze. Odemknął je i wyskoczył na zewnątrz. Moment później pokonał płot i znalazł się na ulicy. Przemknął się przez jedno z przejść, które nie zmieniło się od czasów jego młodości i już był bezpieczny. Tak przynajmniej mu się zdawało. Do czasu, gdy za plecami usłyszał ten sam głos, który zmieniał już losy wielu z jego przyjaciół.

-Ruki wwierch! Kuda wy iditie? Nu, goworitie, kuda? – naraz wokoło zaroiło się od uzbrojonych w kałachy funkcjonariuszy. Edward zdążył jeszcze tylko wyszarpnąć granat i razem z teczką odrzucić go gdzieś daleko. Teczka wraz z zawartością uległa całkowitej destrukcji.

***

Dwa dni później znalazł się po raz ostatni na sali sądowej. Ponury prokurator w równie ponurym radzieckim mundurze uśmiechał się kpiąco, jeśli to, co co jakiś czas gościło na jego twarzy można w ogóle nazwać uśmiechem. Jego obrońca, zdaje się, że jakiś szeregowiec z armii idącej na Berlin, zdawał się nie zauważać rzeczywistości. Obracał tylko w dłoniach papierosa i pragnął chyba tylko tego, żeby mu go nie zabrali przed całkowitym wypaleniem. W końcu, w tej szarej drewnianej sali pojawił się sąd. A właściwie to, co miało sąd przypominać. Trzech funkcjonariuszy o fizjonomii potomków Czyngis-Chana w rozpiętych mundurach weszło na salę. Głosem pełnym naleciałości z dialektów zauralskich, w stylu, który sądowi najzwyczajniej nie przystoi odczytało podjętą decyzję:

Eduard Iwanowicz Surkowski, urodzony roku 1919, grodnienskaja obłast, wołkowyskij rajon, dieriewnja Samarowiczi, wyrokiem Sądu Grodzieńskiego Białoruskiej SRR zostaje skazany z paragrafu 4995/1927 na 10 lat ITŁ oraz 20 lat pozbawienia praw obywatelskich. Uzasadnienie wyroku – sędzia przekręcił kartkę – uzasadnienie wyroku: działalność kontrrewolucyjna przeciwko Związkowi Socjalistycznych Republik Radzieckich w okresie od 1939 roku do 1946 roku, działalność wywiadowcza na rzecz Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i kolaboracja z III Rzeszą w okresie od 1939 do 1945 roku. Wyrok jest prawomocny i nie ma od niego odwołania. - Moment później trzyosobowy skład sędziowski opuścił salę. W ślad za nim strażnicy wyprowadzili skatowanego w ciągu dwóch dni Edwarda. Jego wolność nie tylko oddalała się, ale kazała na siebie oczekiwać w tradycyjnym regionie polskich zesłańców – w Gruzji. Czy mógł przewidzieć, że w przyszłości los rzuci go na Ukrainę?

Krystynopol, powiat Sokal, województwo lwowskie, kwiecień 1944 roku

Miasto wyglądało jak wymarłe. Od dłuższego już czasu na terenie Inspektoratu Północno-Zachodniego Okręgu Lwowskiego AK panował rodzaj swoistej anarchii, wynikającej raz to z działań ukraińskich nacjonalistów likwidujących polskich mieszkańców tych ziem, dwa – z wycofania się już oddziałów niemieckich i przekazani wielu terenów Ukraińcom, co w sytuacji braku polskiej organizacji skutkowała brunatnym terrorem i całkowitą samowolą banderowców. Miasto był wymarłe. Kontrolę nad nim sprawowały de facto oddziały z dywizji SS Galizien, które zatrzymały się tam Bóg wie, kiedy i nie zamierzały na razie opuszczać tego rejonu. Taki stan rzeczy sprzyjał zaprowadzaniu tam nowego, choćby tylko chwilowego władztwa. Jednym z miejsc gdzie władztwo to materializowało się w sposób charakterystyczny były podziemia pałacu w Krystynopolu.

-Nu, Ljaszku! Nie rozmowljajesz ukrainskoju? – żołnierz w ciut przymałej na niego czapcze z Tryzubem kpiąco uśmiechał się do rozciągnięte na łańcuchach człowieka. – Nu, nie porozmawiasz sobie z nami? Nu? I jak to jest? Myślałeś, że nas pobiłeś, co? Naiwny ljaszek, nainwny! Nu, posmakuj żaru! – kolejny raz przypalał go żywym ogniem. Przypalany nazywał się Michał Fidryk i trzymał się nieźle pomimo trwających od sześciu z górą godzin tortur, z których, miał tego świadomość, nie miał prawa wyjść żywy. Nie po to go dopadli, żeby podarować. O, nie! Oni nie byli tacy. Zbyt dobrze ich znał. Czerpali teraz tylko satysfakcję

z zadawanego mu cierpienia, żeby potem, w okrutny sposób, zakończyć jego życie. Jakie to właściwie było życie? Akurat on nie miał się czego wstydzić. Wykształcony przed wojną, oficer zawodowy lotnictwa, skończył wydział muzyczny Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Od początku w konspiracji. Obronił Ostrów, rodzinną wioskę, przed bandami. I tylko tego jednego mógł żałować, tej jednej decyzji o powrocie po pozostawione rzeczy… I tylko jednego mu było żal, tylko jednej jedynej pozostawionej samej sobie – narzeczonej… Pomyślał, że może jeszcze chwila, że jeszcze tylko parę godzin… I pocieszeniem, a może dodatkową męką był fakt, że obok niego konał drugi obrońca polskości na Kresach, drugi, który w wypełnieniu obowiązku stanął z nim w jednym szeregu – Hartman… Ale teraz już nie myśleć… Już nie myśleć, zawierzyć się Bogu… Jeszcze tylko chwila… Tylko chwila… I zaraz zobaczy tych pomordowanych w Ostrowie… I gdzie indziej… Tylko chwila… Matko Boska Sokalska módl się za nami…

Krzemienica Kościelna, obwód grodzieński, Białoruś, listopad 2013

Jesień już była w pełni, drzewa szumiały, a ze wzgórza kościelnego w tym „katolickim kraju" rozciągał się wspaniały widok na okoliczne lasy. Jakież to wszystko było polskie. Jakież własne, ojczyste, odwieczne! Nie mogli tego zabrać nigdy. Ani wtedy, gdy włączyli tę ziemię do Imperium, ani później gdy siłą chcieli złączyć ją z sowiecką Białorusią. Nie dało się, to nie było możliwe. I nawet dzisiaj, gdy piłuje się krzyże, albo gdy białoruscy nacjonaliści twierdzą, że jest to odwieczna ziemia białoruska, nie da się tego zmienić. Polska była tutaj, zanim była Białoruś czy Rosja i Polska będzie tam zawsze. Byli o tym święcie przekonani wszyscy, którzy tego pochmurnego jesiennego dnia zebrali się w kościele parafialnym. A było ich czterech. Czterech straceńców, którzy zdecydowali się dokonać niemożliwego. Zaledwie pół roku wcześniej wszyscy zostali włączeni do Organizacji, zaledwie pół roku wcześniej złożyli przysięgę, a już byli po szkoleniu i już mieli trafić na front. W tej chwili kapłan udzielił im absolutorium i dał komunikanty. Ostatni raz wsłuchali się w szum niesiony przez litewski wiatr, ostatni raz spojrzeli z ziemi na swoją ukochaną miejscowość. Po chwili uniesienia szybko musieli jednak wrócić na ziemię. Bo oto do świątyni przez zakrystię wszedł ich oficer prowadzący. Za nim pojawiło się dwóch innych, których jeszcze nie znali. Nieśli wszystko to, co straceńcy mieli wziąć ze sobą. Oficer nazywał się Aleksander Sosnowski i zajmował się organizacją struktur na Białorusi. Podlegał bezpośrednio pod Lublin, co oznaczało, że wszelkie raporty trafiały prawdopodobnie na biurko szefa Komendy Dywersji. Zawsze chłodny i opanowany, teraz jednak również dał się pochwycić podniosłemu nastrojowi. Oto, po wielu miesiącach treningów, prób, testów broni i samolotów pierwsza grupa wychowanków leci na terytorium Polski. I jest to grupa jego wychowanków, jego chłopców sprawdzonych na terytorium wschodniej Polski. Był z tego niezwykle dumny. I miał do tego pełne prawo. To w końcu dzięki niemu komendy na wschodzie działały niejednokrotnie najlepiej z zagranicznych dyspozytur dorównując placówkom krajowym. Teraz, gdy już miał się pożegnać z tymi chłopcami nawet jemu stanęły łzy w oczach. Nie wiedział czy to z powodu przywiązania do nich, czy może z powodu tego, iż był świadomy, że oto rozpoczyna się to na co wszyscy tak długo czekali – walka o Polskę, walka o Rzeczpospolitą. Pamiętał, jak jako dziecka słuchał opowieści ojca o tamtej Rzeczypospolitej – tamtej przedwojennej i tamtej wytęsknionej – przedrozbiorowej. Z takim, a nie innym dziedzictwem czuł się zawsze i był – żołnierzem tamtej, dawnej, niepodległej, wielkiej Rzeczypospolitej. Teraz, przechodząc koło czekającego na odlot szeregu, uścisnął każdemu dłoń i powiedział parę krótkich słów. Jakie to były słowa? Bóg jeden raczy to wiedzieć. Na pewno były to słowa, których siłę zrozumieć mogła i może tylko ta wspaniała litewska młodzież, która na swoją Ojczyznę czekała i czeka od dnia narodzin. Tylko ta, która tę świętość przedwojenną przechowała, gdyż była do tego zmuszona, która walki nie rozmyła i w której duch nie ewoluował w kierunku nowej Polski. Teraz jej przedstawiciele mieli ruszyć, by o tę Ojczyznę walczyć. A że o ich walce miał się nikt nie dowiedzieć? Taka jest cena wolności, że o tym co najważniejsze naród dowiaduje się późno, albo wcale. Teraz jednak trzeba było przekazać typowe instrukcje, które jednak przez niego wygłaszane były po raz pierwszy.

-A więc, Panowie, sprawa jest jasna. Tutaj macie broń. Reszta jest w składach, które są już na pokładzie samolotu. Tutaj pieniądze na wszelkie niezbędne wydatki organizacyjne. Tu natomiast dokumenty, które mają wam wystarczyć na dotarcie do Lublina. To tak na wszelki wypadek, chociaż nie powinni was kontrolować. Skaczecie w nocy, więc nie powinno być problemów. Spadochrony zakopać wraz z pieniędzmi i składami broni. Zostaniecie zrzuceni w okolicach Niedrzwicy Dużej, to jest jakieś

dwadzieścia kilometrów od granic miasta. Teraz uwaga. Po ukryciu całego sprzętu macie jak najszybciej, rzecz jasna nie zwracając na siebie uwagi, dotrzeć do Lublina. Tam, przy ulicy Lubartowskiej, będzie na was czekał opiekun, który przekaże wam dalsze instrukcje i zapewni pełną legalizację. Pamiętajcie, że jest to dopiero początek wojny i Bóg jeden wie, kiedy, jak i czy w ogóle powrócicie do domów. Pamiętajcie, że ta wojna dopiero się zaczyna i będzie prawdopodobnie trwać całe lata. Niemniej, życzę wam powodzenia i, oby, do zobaczenia. Niech żyje Najjaśniejsza!

-Niech żyje! – odkrzyknęli chóralnie, odśpiewali hymn, pomodlili się jeszcze i powoli opuścili budynek kościoła. Spokojnie, kryjąc pod płaszczami przekazane im rzeczy, zsunęli się po skarpie w podmokłą dolinkę, których było tutaj bardzo dużo. Po kwadransie przedzierania się przez niedostępne białoruskie bagna, znaleźli się na miejscu. Tam czekał już samolot, a pilot wymownie spojrzał na oficera, wskazując palcem na zegarek. Czas płynął, a dookoła był już ciemno, gdy samolot zaczął kołować, a pierwsi żołnierze odrodzonego Wielkiego Księstwa Litewskiego ruszyli na wojnę, pozostawiając za sobą całą przeszłość. W listopadzie 2013 roku na front ruszyli: Andrzej, Michał, Jan i Jewgienij. Litewskie niebo zostawało w tyle, a lubelskie przybliżało się coraz bardziej.

Lublin, kilkanaście godzin później

Chłopcy we czwórkę szli pewnie ulicami miasta. Nic nie mogło ich tam zaskoczyć. Na wszystko byli perfekcyjnie przygotowani. Wyuczeni wszystkiego mieli wyglądać na rodowitych Lublinian, którzy stanowią integralną część ludności miasta. Dosyć szybko zbliżali się do celu swojej wędrówki. Kilkadziesiąt metrów przed nimi znajdowało się już przejście przez ulicę Ruską. Chwilę potem dzwonili już pod właściwy numer, pod numer 8. Nikt jednaj nie odbierał. Lekko zdziwienie wytrzymali chwilę i zadzwonili po raz drugi. W końcu ktoś odebrał domofon.

-Słucham?

-Przepraszam, ale czy są już, tego, książki do języków? – zapytał Michał. W odpowiedzi usłyszał, że jakieś książki są, ale osobnik, z którym rozmawiał nie wie, jakie, po czym wszyscy czterej zostali wpuszczeni do środka. W drzwiach mieszkania czekała na nich pięćdziesięcioletnia kobieta, która na ich widok tylko się uśmiechnęła i wpuściła do środka. Podała im herbatę, postawiła ciastka i schowała się w jednym z pokojów. Andrzej starał się nie przeczuwać niczego złego, ale jego natura, wiecznie wieszcząca wszelkie możliwe nieszczęścia, sprawiła, że wzrokiem nakazał kolegom przytogować broń. Moment później kobiet znów pojawiła się w pokoju i zaczęła przygotowywać kanapki.

-Rozumiem, że panowie bez śniadania? – starała się w jakiś sposób podjąć rozmowę. Ale przyjaciele nie odpowiadali. Za dużo było tu niejasności, żeby móc odpowiadać. Starali się czegoś dowiedzieć na podstawie jej zachowania, ale to wskazywało tylko na wyraźne zdenerwowanie. Nie wiedzieli, co mają o tym myśleć. W końcu, po zjedzonym w całkowitym milczeniu posiłku, zaczęli grać w karty. Po upływie jakichś trzech kwadransów do góry poderwały ich szybki kroki na klatce schodowej. Od razu obstawili drzwi i sprawdzili pokoje. W jednym z nich znajdował się jakiś czterdziestoletni mężczyzna, która tylko uśmiechnął się do nich i dał sobie związać ręce. Czekali na to, co się wydarzy z gotową do strzału bronią. W końcu kroki umilkły, a dało się słyszeć przyśpieszone walenie w ich drzwi.

-A nie mówiłem! – jęknął Jan.

-Zamknij się! – ukrócił jego wywody Jewgienij. Właściwie to zawsze tak było, że Białorusin musiał uciszać Polaka. Zresztą w ogóle Jan miał jakiś nadzwyczajny talent do szybkiego rozpaczania. Andrzej nakazał wszystkim milczenie i jednym ruchem otworzył barierę. I w tym momencie do pokoju wpadł młody, najwyżej siedemnastoletni chłopak, wymachując bezradnie rękoma, nakazując zamknąć drzwi i mówiąc coś o katastrofie i prostych błędach, których dało się uniknąć. To, co zobaczyli było dla całej czwórki tak niespodziewane, że w pierwszej chwili po prostu odebrało im możliwość ruchu. Z tego powodu chłopak zdążył wpaść do kuchni, nalać sobie wody i usiąść przy stoliku.

-Więc, sprawa wygląda następująco. Mamy problem. – przerwał na chwilę, żeby zaczerpnąć oddechu.

-Mamy problem. To znaczy…? – próbowała podjąć temat gospodyni.

-To znaczy… No, sama się domyślasz… Czy muszę to teraz mówić? Najgorsze, że oni zaraz przyjadą, a ja nie chciałem….

-Zaraz, stop. – wyrwał go z innej rzeczywistości coraz mniej rozumiejący Andrzej – Jacy oni?

-A… to Panowie już przyjechali! Czekaj, czekaj… Czterech. No, tak. Więc już mamy problem. Czy też może raczej po problemie. W takim razie witam kolegów Litwinów. No, cóż. Rzeczywistość nas trochę zaskoczyła, ale trudno się mówi. Panowie, proszę, proszę, siadajcie. Więc, jeśli się nie mylę – mamy dla was niezbyt miłą informację na sam początek.

-Jaką informację? – tym razem podjął Jewgienij, nie bardzo wiedząc o czym ten chłopak mówi. Przecież on był za młody!

-Otóż… Może inaczej. Ja nazywam się Józef Fidryk i jestem tu w zastępstwie waszego… Cóż, waszego opiekuna. Miało mnie tu nie być, ale wasz… opiekun jest niestety niedysponowany.

-Nie bardzo rozumiem. Co znaczy niedysponowany?

-Znaczy to mniej więcej tyle, że prawdopodobnie, niestety, będziemy musieli…

-No, wykrztuś to z siebie.

-Postawić na nim krzyżyk.

-Co takiego? – tym razem nie mógł jakoś dopuścić do siebie Jan.

-Postawić na nim krzyżyk. Ranny w akcji. Ciężko ranny. No, jak to można inaczej powiedzieć. Wykituje za chwilę, o ile jeszcze nie wykitował. Jest to dla mnie osobiście wielka strata, bo był z niego świetny oficer, ale tak to już jest, koledzy, że takie straty również się zdarzają. I może dobrze, że dostaliście coś takiego na początek. Bo nie wiem, jak jest tam u was, na Białorusi, ale u nas się strzela. I to strzela się gęsto i często. Chcąc nie chcąc musimy to robić. – do wszystkich powoli dopiero docierała ta myśl, że tutaj także, nawet bardziej niż u nas, będzie trzeba zmagać się u boku rzeczywistych ludzi przeciwko rzeczywistym ludziom. Zapach krwi unosił się w powietrzu. – Nie chciałem się w to angażować osobiście. – kontynuował tymczasem Józef – Ale niestety jestem zmuszony to zrobić. Wobec tego co się dzisiaj wydarzyło będziecie musieli wejść w skład Komendy albo przynajmniej zająć się pracą biurową. Wiem, że nie do tego was szkolono, ale to naprawdę nie moja wina. Panowie, przed nami najtrudniejszy czas od miesięcy i niedokończona akcja likwidacji sowietów w kilku przynajmniej miejscach. Ale to zadania bieżące. Znacznie trudniejsze będzie dopadnięcie delegatury radzieckiej, o której mamy informacje, że ukryła się gdzieś na terenie Inspektoratu Centrum i działa sobie w najlepsze, skutecznie okpiwając nie tylko okupacyjne struktury III RP, ale także naszych ludzi. Na razie, przynajmniej przez trzy dni, pozostaniecie w tym mieszkaniu, pod czujnym okiem Aliny, a ja tymczasem zajmę się waszą legalizacją. Później zastanowimy się, co dalej. Warto jednak, żebyście tego czasu nie zmarnowali, poczytać w tym czasie coś z naszych akt. Jutro mój łącznik dostarczy wam papiery. Do czasu pełnej legalizacji macie zakaz opuszczania mieszkania. I to by było na dzisiaj tyle. – Jakieś pytania? – pytań nie było, więc Fidryk szybko opuścił mieszkanie przy Lubartowskiej, zostawiając Litwinów samych sobie ze swoimi problemami, analizami i marzeniami. Miasto zaczynało nowy dzień.

*W grudniu 1941 roku generał Władysław Sikorski mówił do pochodzących z Grodna żołnierzy odtworzonej na Zachodzie 6 Dywizji Piechoty: „Jesteście nowymi Orlętami. Postaram się, żeby wasze miasto otrzymało Virtuti Militari i tytuł Zawsze Wiernego.”

■

Michał Maciąg

Zabijajmy legendy – cz. 3

„Jezioro szczęścia"

Mówią, że na upały najlepszy jest wypoczynek nad jeziorem. Za chwilę przekonamy się, że nie zawsze. Na dzisiejszym stole leży (zdecydowanie leży) piosenka zespołu BAJM p.t. „Jezioro szczęścia".

Jezioro ma Twój zapach i Twój smak.

Na potrzeby nauki zbadałem organoleptycznie jedno z jezior Pojezierza Łęczyńsko - - Włodawskiego. Powiedziałbym, że jest raczej słone, a pachnie przeróżnymi gatunkami ryb. No cóż... adresat liryczny zapewne nie mył się zbyt często, jednak niewykluczone, że miał parę zalet rekompensujących ten feler. Może był imponującym wędkarzem?

Czuję to, gdy tylko zanurzę w nim twarz.

„Czuję twój zapach i smak, gdy tylko zanurzę twarz w jeziorze". Zmysłowe, a przy tym obrzydliwe. Figlarna wyobraźnia przywodzi mi na myśl topielca. Nie mam pojęcia, dlaczego.

Wspomnienia palą mnie jak słońce

W takiej sytuacji jako niedoszły terapeuta radziłbym unikać czynników je przywołujących. Ten przypadek wymaga... zmniejszenia częstotliwości zanurzania twarzy w jeziorze.

A swoją drogą... jeśli tego typu wspomnienia „palą jak słońce", to skąd tytuł „Jezioro szczęścia"? Ja nazwałbym to raczej „Jeziorem problemów", ewentualnie – poetycko: „Jeziorem ognia".

Wspomnienia jak lawa gorące

O ile wiem, lawa ma to do siebie, że momentalnie stygnie. Nie jest źle. Zastanawiam się tylko, na czym polegają „gorące wspomnienia".

Uciekam przed nimi tak co noc.

... i za każdym razem wpadam twarzą do jeziora, przez co na marne idzie cała rozpaczliwa próba ucieczki.

Powietrze się napełnia światłem do dna.

Paskudny cios dla zwolenników falowej teorii światła. Ta piosenka powstała z myślą o orędownikach teorii cząsteczkowej.

Nawet nie wiesz, jak bardzo
Jak bardzo mi Ciebie brak.

- Ja nie wiem?! Ja nie wiem?! Zakład?

Gdy myślę o Tobie,
Należysz wtedy tylko do mnie

Tę lirykę słyszę w radiu i... nie rozumiem. Korzystam więc z internetowego opracowania i... dalej nie rozumiem. Zniewalanie myślą... Może to ma coś wspólnego z voodoo?

Jestem wolna od złudzeń,
lecz splątana nićmi wspomnień.

Deklarowana „wolność od złudzeń” w zestawieniu z treścią poprzedniego fragmentu wydaje się być wątpliwą. Nie wiem, czemu, ale mam przeświadczenie, że adresat liryczny utworu ma się raczej dobrze i nie zostaje ubezwłasnowolniony za każdym razem, kiedy jego była miłość włoży twarz do jeziora.

Oby mniej takich „Jezior szczęścia”. Panie – nie pijcie wody ze zbiorników wodnych. Panowie – starajcie się dbać o higienę, zwłaszcza po powrocie z wędkowania. I po problemie.

P.S.
Redaktor Figura uważa z kolei, że tekst opowiada o miłości do ryby. To takie egzotyczne. I niebezpieczne.



Michał Maciąg

W sprawie tamtego listu (406)

Nie przejmuj się tym drugim listem.
Nie idzie o takiej potrzebie.
No przecież to jest oczywiste,
że tamten list nie był do Ciebie.

Przepraszam za chwile zwątpienia,
że było Ci ciut nieprzyjemnie.
No przecież to do przewidzenia,
że tamten list nie był ode mnie.

Ten list chciał napisać kolega,
jedyny kolega na świecie.
Lecz taka jest z niego lebiega,
że skręcił nadgarstek w szalecie.

On kocha tę Mańkę z Opola
i takie z nią prawi ekscesy.
A nasza w tym tylko niedola,
że źle przepisałem adresy.

On także na imię ma Michał
(tak, tak, musisz poznać go blisko).
On też się do skrzynki przepychał
i... cud: nosi moje nazwisko.

I adres on także ma po mnie,
bo kiedy był w pilnej potrzebie,
ukryłem go w domu przytomnie,
meldując na stałe u siebie.

Lecz po tym wypadku w wychodku
tak żal mi go było, biednego,
że list, co znalazłaś tam w środku,
spisałem swym pismem za niego.

A za to, co zmyślił o Tobie
(skąd wie, że Twa postać istnieje?)
to nie wiesz, co nawet mu zrobię,
niech tylko ten drań wytrzeźwieje.

Jak ja mu po mordzie przywalę,
nieprędko się z tego wyliże.
Zaś listem nie przejmuj się wcale,
a prześlij na adres poniżej.

13 września 2015 roku



Michał Maciąg

Stoliki (411)

Tych stolików nikt nie widział,
kiedy rosły same z siebie,
stojąc tak jak ja po przydział
albo ciotka na pogrzebie.

Ale były tam na pewno,
obwinięte w białą strojność.
One udawały drewno
jak ty uśmiech, a ja hojność.

Przesuw dłoni po sizalu,
poszarzałym niczym gotyk,
dał mi tęgą garść krochmalu
za twój potencjalny dotyk.

Ktoś za nami emitował
jedno duże neutrino
i kaseton zwisał z pował,
i przynieśli komuś wino.

Ty zerkałaś w dół co chwila,
tłumiąc słowa Koheleta*,
a twój wzrok się wbił jak szpila
hen, daleko, w głąb kotleta.

Obok stolik stał bezludnie
jak historia tego miasta.
I dwunasta, i południe,
i południe, i dwunasta.

Ocukrzony brzeg kompotu
łyskał w słońcu zza witryny.
Ja nie miałem już odwrotu,
ty nie miałaś już godziny.

Stora barwy jasny piernik
dwakroć wzbiła kurz na przedzie
i już witał nas październik,
gwóźdź programu po obiedzie.

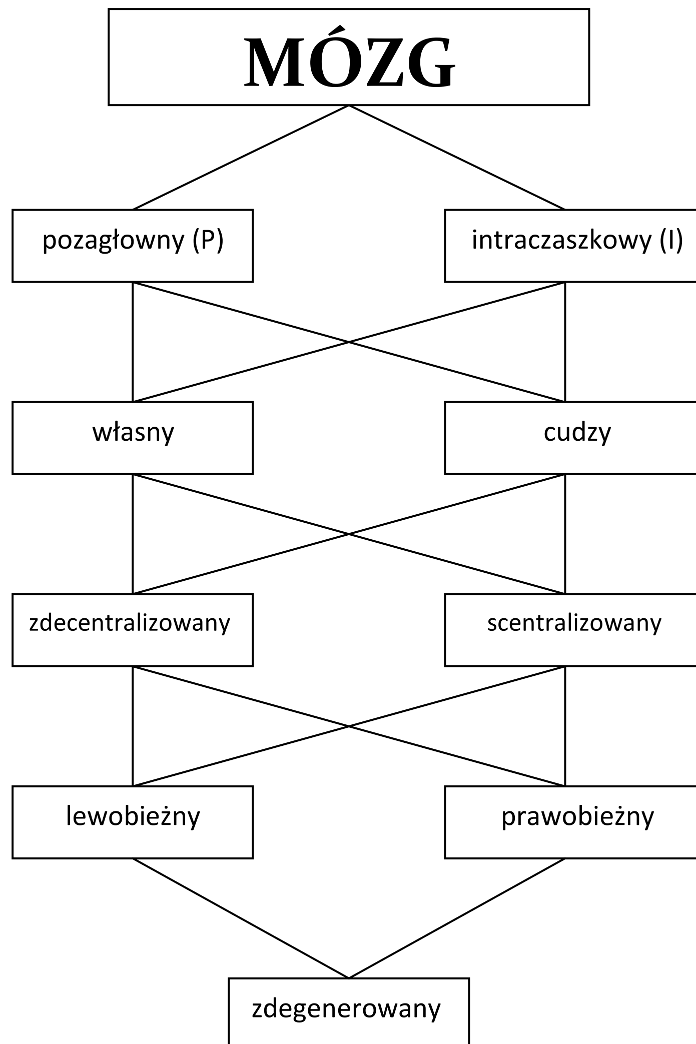
3 października 2015 roku

* ob. Koh 1,2



Paweł Bury

Klasyfikacja mózgu



■

Zapraszamy do zgłaszania własnych publikacji. Czekamy na Państwa teksty i rysunki. Propozycje publikacji oraz ewentualne pytania i komentarze prosimy kierować pod adres: szanowny.redaktor@gmail.com

Wszystkie numery „Czubka periodycznego” są dostępne w wersji elektronicznej na stronie: czubekperiodyczny.blogspot.com